

WOJNY ŻYWIOŁÓW

PRZEBUDZENIE ZIEMI: UDRĘCZENI



MICHAŁ PODBIELSKI

Wojny żywiołów

Przebudzenie Ziemi: Udręczenia

DARMOWY PROLOG

ŚCIAĞNIĘTY PRZEZ:

www.facebook.com/wojny.zywiolow

Z serii „Wojny żywiołów” ukazały się:

Przebudzenie Ziemi: Udręceń

Przebudzenie Ziemi: Powstania

W przygotowaniu z serii:

Zemsta Golema: Narodziny

Michał Podbielski

Wojny żywiołów

Tom pierwszy:
Przebudzenie Ziemi

Część pierwsza:
Udręczeniu

Wydawnictwo
Żywioły

Copyright © 2014 SIMPLE Podbielski Michał

Redakcja, korekta i druga korekta:
Dorota Stępień-Góra

Trzecia korekta:
Grażyna Dobromilska

Ilustracja okładki:
Anna Fidytek

Opracowanie graficzne okładki:
Dorota Szul

Czcionka tytułowa:
Jeniffer Zúñiga

Mapki:
Marcin Burmiński

Druga redakcja, skład i łamanie:
Michał Podbielski

ISBN 978-83-940537-1-0

Wydanie II poprawione, Nysa 2016

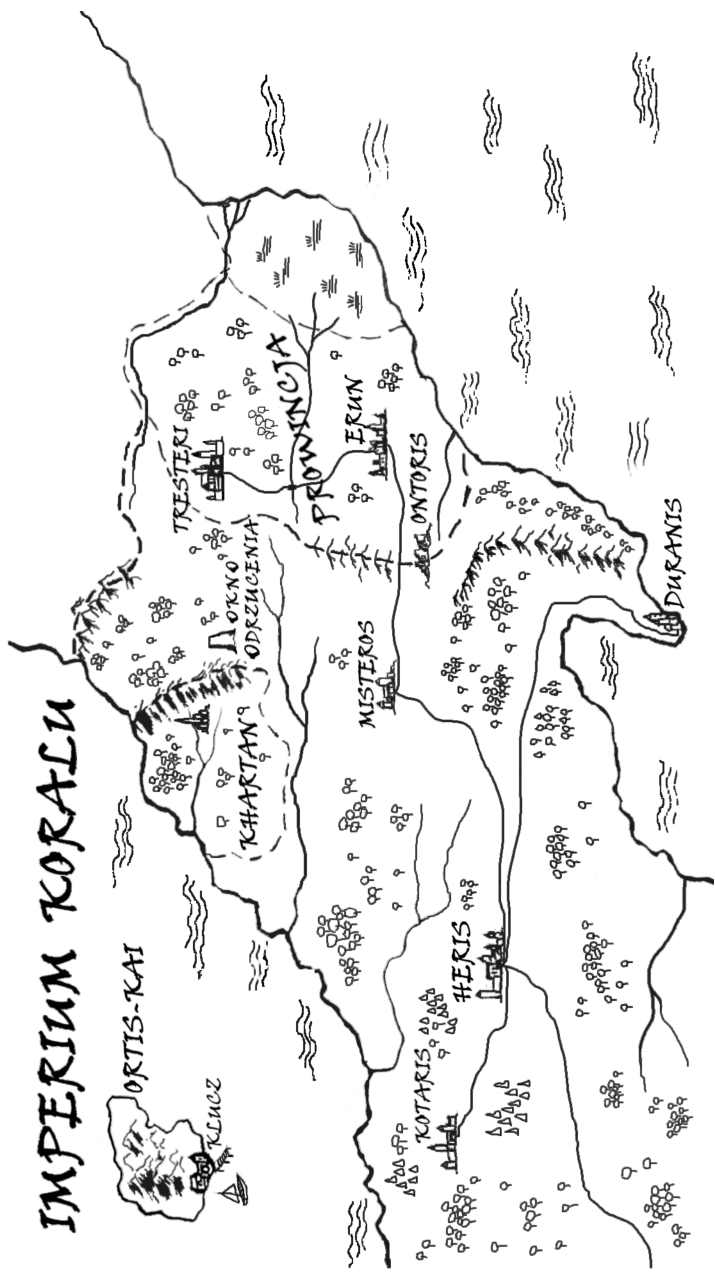
WERSJA NIEKOMPLETNA – DARMOWA PRÓBKA

Wydawca:
SIMPLE Podbielski Michał
Wydawnictwo Żywioly
ul. Kusocińskiego 37/7, 48-303 Nysa
e-mail: kontakt@wydawnictwozywioly.pl
www.wydawnictwozywioly.pl
www.facebook.com/wydawnictwo.zywioly

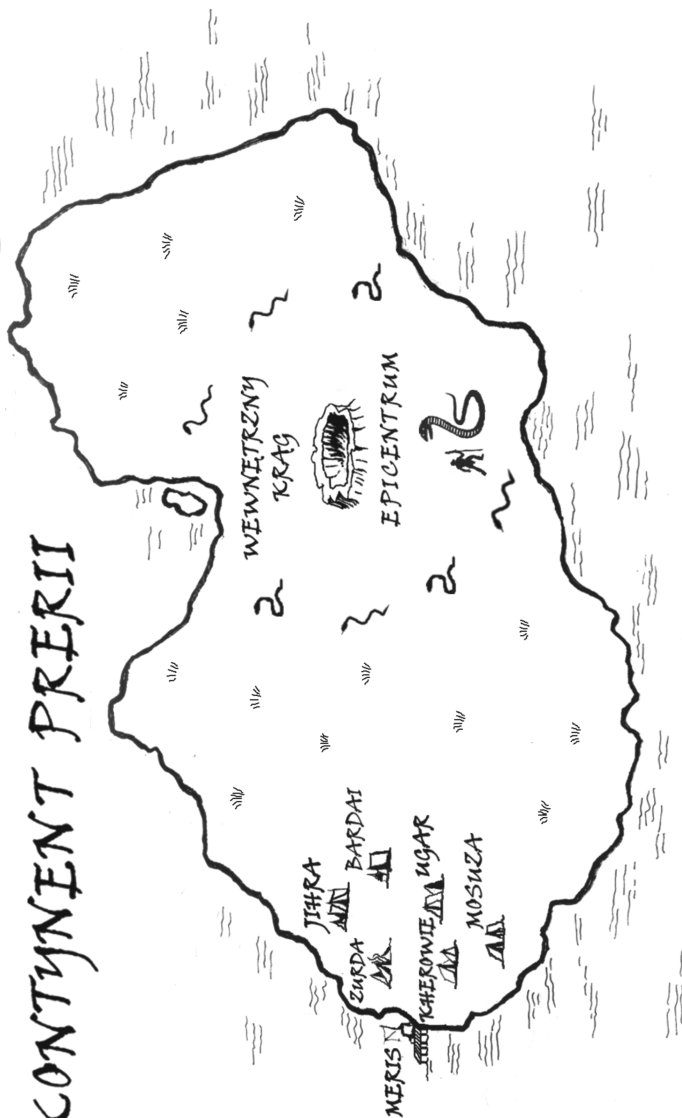
www.facebook.com/wojny.zywiolow

Z dedykacją dla wszystkich muž, tego świata.

IMPERIUM KORALI



KONTYNENT PRERII



Prolog

Agraiel stanął przed gładką ścianą granitu. Dotknął chłodnej powierzchni i spróbował wymacać najmniejszą szczelinę, najdrobniejszą skazę przy wbitym w relikwii diamencie. Oczywiście nie znalazł niczego takiego. Wokół skała była pomarszczona i popękana, ale nie tutaj, nie w Oknie Odrzucenia. Nieskazitelnie płaski obszar przecinały żyły złota, srebra i miedzi. Ściana błyszczała też od drogich kamieni, perfekcyjnie wtopionych i ściętych na równi z jej powierzchnią. Taki majątek na wyciągnięcie ręki... I nic dziwnego, że wielu ją wyciągało. Jednak nikt nigdy nie naruszył tutejszej skały, czy to siłą mięśni, narzędzi, czy zaklęć. Zresztą te ostatnie, użyte przeciwko Oknu, były powodem zgonów wielu śmialków sięgających po jego bogactwa. Niezależnie od tego, czy posłużyli się magią Ognia, czy Wody. A Agraiel miał zamiar użyć ich obu.

Nie chodziło o skarby, nie dbał o nie. Chodziło o moc, której nikt nigdy jeszcze nie okiełznał, a której jemu raz udało się zaznać. Tak – Ziemia była szalona.

Ogień i Woda – tak sobie wrogie, a tak do siebie podobne. Dwie płynne domeny tętniły magią i używały jej tym, których umysły były wystarczająco silne, aby ją przywołać i okiełznać. A może chodziło o talent? Agraiel nie wierzył w tę wersję. Nie wielu potrafiło czarować i choć on należał do tych nielicznych, to doskonale wiedział, jak wzrosła jego sprawność w sztuce dzięki latom treningów mentalnych.

Żeby pojawiła się moc, najpierw trzeba dać jej ujście – otworzyć Tamę i pozwolić wlać się do Koryta umysłu. A potem musi płynąć, aby przybrała nadaną przez maga formę. Otepiałe intelekty były za słabe – zamiast Tamy odkręcały kurki i leniwie wypełniały się, jak piwo wypełnia kufel. Za to jego rozum był bystry, Tama ogromna. Tylko lata medytacji pozwoliły poszerzyć ją do takich rozmiarów. W przeciwnym razie byłoby to szaleństwo, magia zalałaby go i niszczyła. Niemniej Agraiel już dawno oczyścił ścieżki umysłu, przygotował Koryta szerokie jak rzeki i moc płynęła przez niego szybko i sprawnie. Obie moce.

Ziemia była inna; Ziemia była twarda, stała; Ziemia nie płynęła. Napierała bezlitośnie, miażdżąc te umysły, które spróbowwały się przed nią otworzyć. W całym Imperium Koralu nie było magów Ziemi i Agraiel chciał to zmienić. Wiedział, że nie jest pierwszym pragnącym tego dokonać. Znał ryzyko, ale nie mógł się oprzeć. Nie po tym, jak raz już zaznał tej mocy.

Przystawił drugą rękę do skały, pochylił głowę i przywarł czołem do powierzchni granitu, zimnej, mimo iż cały dzień słońce oblewało ją żarem. W tej chwili przypominał sobie wszystko, co wie o Wodzie, tej najprostszej ze sztuk dla ludzi. Jego prawa dłoń zaczęła się nadnaturalnie pocić. Nadal nie otworzył Tamy, wciąż nie był na to gotowy – zamierzał użyć obu żywiołów jednocześnie i wołał się nie spieszyć. Istniały legendy o magach władających obiema dziedzinami, ale historia Imperium Koralu nie potwierdza istnienia żadnego, a Agraiel nie zamierzał się z tym jeszcze zdradzać. Nie, kiedy Imperium okupowało jego ukochany kraj. Nie po tym, jak skazało całe jego miasto na zagładę... rodzinę, znajomych, przyjaciół. Nie. O tym Imperium dowie się, gdy on tak zdecyduje. I dowie się boleśnie.

Jego twarz wyrażała całkowite skupienie. Oczy miał zamknięte, a usta ściągnięte w wyrazie zamyślenia. Przyszedł czas na trudniejszą domenę – przyszedł czas na Ogień. Ludzie nigdy nie osiągnęli w nim biegłości. Był zbyt odległy ich naturze, zbyt niedopasowany i zachłanny. Uciekał z Koryt i łatwo pochłaniał cały umysł. Ci z ludzkich magów, którzy w ogóle go używali, nigdy nie wpuszczali go zbyt wiele, zawsze dbając, aby w Korycie pozostało dużo miejsca. Dlatego byli słabi, dlatego Agraiel nie uczył się Ognia od ludzi...

Ostatnie miesiące medytacji spędził na rozdwarzaniu jaźni, budowie zapór, którymi mógł rozdzielić Koryta, starannie oddzielając Ogień od Wody. Kiedy popłyną, zaleją dwie osobne części umysłu, bezpiecznie pozwalając mu operować oboma wrogimi żywiołami naraz.

Euturion przyglądał się temu z posępnym wyrazem twarzy. Nie podzielał optymizmu przyjaciela, ale wiedział, że nie wpłynie na maga. Dlatego do ostatniej chwili udawał, że wierzy w siłę

jego umysłu. Właściwie to nie powiedział niczego, co mogłoby zniszczyć w nim to przekonanie; tylko zatrzymał się dwa szczyty dalej. Śledząc wydarzenia z odległości kilku kilometrów, myślał o tym, że pomimo całej pewności siebie, Agraiel jeszcze nigdy wcześniej nie używał jednocześnie Ognia i Wody.

Idiota postanowił umrzeć w wielkim stylu, kolejny Odrzucony...

A on mógł jedynie obserwować.

Szlag by go trafił. Zresztą, zaraz pewnie to zrobi.

O przyjaciela nie było sensu już się martwić, Euturion zastanawiał się tylko, czy czasem nie stanął za blisko.

Jiliana wyrzała z okna najwyższej wieży Duranis. Wciąż nie mogła w to wszystko uwierzyć. Wydawało się jej, że to jakaś bajka – historia opowiadana przez matkę na dobranoc. Jeszcze zaledwie rok temu spędzała dnie, pomagając rodzicom utrzymać gospodarstwo w małej wsi odległej Prowincji, a teraz podziwiała morze z okna pałacu imperialnego, czekając, aż jej mąż przyjdzie tu i uczyni z niej kobietę. Jej MAŻ.

Na dole wciąż trwały tańce, zabawy i weselne pijaństwo, kiedy wraz ze świeżo poślubionym Namziszem opuścili salę balową. Sam Grot Imperium pospieszył za nimi, aby jeszcze raz złożyć im serdeczne gratulacje. Jiliana nie rozumiała w pełni, dlaczego władca użyczył bratankowi swojego ulubionego, nadmorskiego pałacu i oddał im do dyspozycji najwspanialsze komnaty w Wieży Zachodniego Sztormu. Imperator nigdy nie był rodzinnym człowiekiem. Wszystko, co zdobył, zawdzięczał sobie i nikomu, kto nie był wartościowy, nie znajdował się w jego najbliższym otoczeniu. Nawet ze swoim świętej pamięci bratem rzadko go widywano. A jej męża trudno było zaliczyć do najbliższego grona Imperatora. Owszem, przysłużył się jako posłaniec i dyplomata w mniej znaczących sprawach, jednak Namzis rzadko widywał władcę. Gdy ogłosił swe zaręczyny ze zwykłą dziewczyną z odległej prowincji, i to do tego TEJ Prowincji, wszyscy sądzili, że zostanie wygnany. Tym większe spotkało ich zaskoczenie, kiedy Grot z radością przywitał pomysł i zaproponował, że sam zorganizuje wesele.

Jiliana nie rozumiała świata polityki. Imperium Koralu podbiło Królestwo Wysokich Stepów, zwane teraz powszechnie Prowincją, gdy sama była jeszcze dzieckiem. Niemniej wojna nie przeszła jej kraju. Imperium dało jeden przykład, ukazując swą potęgę, a całe Królestwo zadrżało i padło na kolana. Słyszała straszne historie o mieście całkowicie zniszczonym bez bitwy. O tysiącach, którym nie dano najmniejszej szansy i nie pozwolono nawet się poddać. Na sam dźwięk słowa „imperium” każde dziecko w Wysokich Stepach drżało i syczało z nienawiści. Ale wtedy była jeszcze malutka. Teraz miała już piętnaście lat i właśnie została żoną bratanka Imperatora. Jej ciało okrywała najpiękniejsza suknia, jaką kiedykolwiek widziała, a ona spoglądała właśnie z okna najwspanialszego pałacu na świecie. Mimo wszystkich historii, jakie słyszały jej młode uszy, nie potrafiła się gniewać na Imperium.

Namzis tłumaczył jej, że Grot okazuje hojność, mając nadzieję na zmianę utrzymywanych od lat negatywnych nastrojów w Prowincji. Mimo iż nie wiedziała, na czym polega częściowa niezawisłość i niewiele rozumiała z warunków traktatów pokojowych, o których opowiadał jej jeszcze jako narzeczony, nie chciała mu przeszkadzać, widząc, jaki jest podniecony na myśl, że oni razem mogą trwale przypieczętować władzę Imperium nad Prowincją, jednając sobie zwykły lud i osłabiając tamtejszą szlachtę. Dla niej nie miało to większego znaczenia, dla niej liczyła się jego obecność, sam ton głosu, to, że znajdował się obok. Mógł do niej mówić niepojęte rzeczy, a melodia jego słów była niczym pieśń kołysząca duszę. Nie musiała ich rozumieć – przecież nie trzeba rozumieć śpiewów ptaków, aby przynosiły radość.

Tak, wciąż było jej trudno w to wszystko uwierzyć. I pomyśleć tylko, że wystarczyłoby tak niewiele, by mogli nigdy się nie spotkać. Jak dziś pamiętała trzask kłody pękającej w kominku i widok żaru rozsypującego się po podłodze. Chciała go ugasić wodą z dzbana, lecz ten zamiast nią chlusnąć wyleciał jej z rąk i rozbił się pod nogami. Wybiegła z chaty przestraszona i omal nie została stratowana przez przejeżdżających drogą jeźdźców. Dwóch nawet podniosło na nią kusze, a jeden błyskawicznie dobył miecza. Była przerażona i zdeorientowana. Skuliła się

na ziemi bezradna, z zamkniętymi oczami czekając na swój koniec. Chrapanie obwążującego ją konia i śmiech dobiegający z góry sprawiły, że uniosła powoli głowę. Jej wzrok powędrował po smukłych nogach białego rumaka i zatrzymał się na młodzieńcu okutym w lśniącą zbroję. Rozejrzała się niepewnie dookoła. Pozostali wędrowcy też byli wojownikami, ale żaden nie miał tak wspaniałego pancerza jak właściciel konia, który właśnie zaczął skubać jej jasne, słomiane włosy. Rozbawiony jeździec ściągnął wodze, żeby przywołać zwierzę do porządku. Następnie podniósł dłoń, a wciąż wycelowane w nią kusze opadły spokojnie – żołnierze Imperium zawsze zachowywali się nerwowo na terenie Prowincji. Obrócił wierzchowca w poprzek drogi, przerywając jego ponowne zapędy, po czym sam zainteresował się dziewczyną. Spojrzał na nią i uśmiechnął się szeroko.

Jilianie serce waliło z przerażenia. Dopiero co rzucił się na nią ogień, woda odmówiła posłuszeństwa, a włosolubna bestia omal jej nie stratowała, oszczędzając tylko po to, aby cała imperialna armia mogła wycelować w nią ostre przedmioty. Nic na świecie nie było już jej przyjazne, poza jednym uśmiechem spoglądającego na nią z wysoka człowieka. Uczepiła się tych ust, patrząc w nie z zauroczeniem. Jeszcze przed chwilą wydawało się jej, że serce nie potrafi bić szybciej. Spojrzała młodzieńcowi w oczy i przekonała się, że była w błędzie.

Wciąż pamiętała swoje zakłopotanie, gdy po opowiedzeniu, jak to ogień rzucił się na nią, a teraz trawi chatę i zagraża całej wiosce, okazało się, że rozlana z pękniętego dzbanka woda już dawno zażegnała zagrożenie. Pamiętała zaskoczenie, gdy trzy dni później młodzieniec zapukał do chaty, tłumacząc się, że w drodze powrotnej musiał zadbać o bezpieczeństwo najważniejszej wsi Imperium. Pamiętała, jak pocałował ją po raz pierwszy, szepcząc, że nie może bez niej istnieć. A teraz był jej mężem i zaraz zjawi się w ich komnacie. Jilianie nie przeszkadzało, gdy musiał oddalić się, przepraszając i prosząc, aby poczekała na niego w wieży.

Nigdy jeszcze nie była z mężczyzną, dlatego, choć kochała Namzisa z całego serca i pragnęła jego uścisku, na myśl o stanie się kobietą pocili jej się dłonie. Wyciągnęła liścik zatknięty za jedną z szarf swej wykwintnej sukni. Nie zachwyciła się, gdy

Namzis oznajmił, że nauczy ją czytać. Nie chciała spędzać z nim czasu, wpatrując się w zwoje – jego obraz dużo bardziej ją fascynował. Ale nie była w stanie odmówić, kiedy poinformował, że bez tego nie zdoła odebrać prezentu ślubnego. Właściwie to w ten sposób się jej oświadczył – nie mogła odpowiedzieć nie. Potem żartowali sobie, że bierze go wraz z czytaniem w komplecie. Tak, Namzis potrafił mieć nietypowe poczucie humoru, ale potrafił też dużo więcej. Rozłożyła powoli liścik, który wręczył jej ukradkiem na sali. Dotknęła czule papieru, rozpoznając pismo ukochanego i przeczytała powoli na głos:

Złodziej nocy

Sama wykradziona, skujesz w łańcuchy.
Sama oderwana, wyniesiesz w przestworza.
Sama odkryta, sekrety wykradniesz.

Uwięziony, Spętany, Zniewolony,
Skuty, Wyniesiony, Obnażony.

Niebem zapłacę – wydrę noc gwiazdom.
Jej płachtą przykryję i pod nią wykradnę,
By magię pokazać, by duszę odgadnąć,
By smutki przegnać, fantazją zawładnąć.

Chcesz mnie uczynić swym więźniem tej nocy?
Strzeż się złodzieja nocy,
On noc zniewolił, jej czasem zawładnął.
Taka noc... może nigdy się nie skończyć...

Oddychała głęboko, kiedy dotarła do końca poematu. Tak, tej nocy stanie się kobietą – będzie żoną cudownego męża i zachłyśnie się najwspanialszymi chwilami swego młodego życia. W głowie kręciło się jej z emocji, czy może z podniecenia. Po-deszła do okna, aby zaczerpnąć świeżego powietrza i zamarła zauroczona. Słońce chyliło się właśnie ku zachodowi, tonąc w otchłaniach oceanu, a rozlewający się po morzu i niebie ogień malował cudowne pejzaże. Spojrzała na chwilę w dół, wiedzio-na dźwiękiem fal rozbijających się o skały tuż u podnóża wieży.

Spieniona woda skrzyła się – niczym iskry z kominka – w ostatnich promieniach wieczoru. Wróciła wzrokiem na linię horyzontu, z przyjemnością witając wynurzający się księżyc. Zaskoczyło ją, jak szybko pojawił się i że był tak okazały w świetle zachodzącego słońca, ale nie miała zamiaru zaprzętać tym sobie głowy. Jilianę zawsze urzekała poświata księżyca. Świat nigdy nie wydawał się jej tak tajemniczy, jak skąpany jego błękitnym blaskiem. Popatrzyła w górę, odnajdując kilka migoczących gwiazd. Noc powoli otulała ich swym płaszczem, jednak na horyzoncie ognista kula nadal nie chciała zejść do końca, wciąż zerkając na Duranis. Jakby oboje bogów pragnęło przyjrzeć się jej szczęściu. Przeplatające się na falach oceanu dwie przeciwne poświaty, ogień słońca i błękit księżyca, malowały obraz zapierający dech w piersiach. Dla Jiliany świat jeszcze nigdy nie wyglądał tak pięknie.

Skrzypiące drzwi wyrwały ją z zafascynowania, a uśmiech sam wskoczył na usta. Odwróciła się, wyciągnęła ręce do ukochanego i zamarła.

– Kim jesteś? – spytała zaskoczona.

Oczy obcego nie wyrażały niczego poza pożądaniem.

– Gdzie jest mój mąż? – Z nutą strachu zażądała wyjaśnienia.

Dopiero teraz usłyszała wrzaski i szcęk broni z korytarza. Nie mogła uwierzyć, że nie dotarli do niej wcześniej. Spojrzała znów na nieproszonego gościa i rozpoznała w jego stroju barwy rodzinnego Królestwa Wysokich Stepów.

– Jesteśmy gośćmi Klaudiusza. Imperator nigdy nie puści tego płazem. – Spróbowała go przestraszyć.

Mężczyzna stał w wejściu z wyrazem zadowolenia na twarzy. Przekroczył próg i pchnął powoli drzwi.

– Grot... To nigdy... – Jilianie słowa zamarły w gardle.

Intruz wykonał krok naprzód. W jej głowie przebiegała już tylko jedna myśl – zbrukana goryczą karykatura miłosnych intencji kochanka. *Złodziej Nocy, Złodziej Nocy...* – natrętnie kotłowało się echem. Nogi ugięły się pod nią i padła na kolana. Patrzyła bezradnie na zbliżającego się mężczyznę. *Taka noc... może nigdy się nie skończyć...* Drzwi zatrzasnęły się...

Słońce i księżyc wciąż wspólnie patrzyły na świat.

Na jego drodze przelewały się rzeki lawy i buchwały opary siarki. Wszędzie wokół krajobraz przedstawiał gołe skały, przecinane pajęczyną świecącego szkarlatu. Ogień i pył – to najlepiej opisywało serce Ortis-Kai. Reszta wyspy wyglądała podobnie. Może z mniejszą ilością pożogi, ale poza wybrzeżami zieleń nie występowała tu powszechnie. Ortis-Kai, zwana potocznie Krainą Ognia, nie była przyjazna dla ludzi. Mimo to kroczył śmiało w wyznaczonym kierunku, niewrażliwy na żar i trujące opary. Przystanął, żeby przyjrzeć się chwilę niewielkiemu kraterowi – jątrzącej się ranie, z której wypływał płynny ogień. Delikatnie przyłożył dłoń do lawy. Wyczuł ból i cierpienie ogarniające krainę, niemniej krew była czysta i silna. Dobry znak dla kwitnącego tutaj życia, ale paskudna wiadomość dla Upadłego. Ortaris nie był pewien, w jaki sposób zechce przekazać wieści. Mógł podróżować wśród płomieni, kryć się przed wzrokiem zamieszkujących wyspę Ogników, czy nawet zniszczyć ich, gdyby tylko zechciał, a nie był pewien, jakie słowa wypowiedzieć na przywitanie.

Nachylił się nad kraterem i zaciągnął głęboko wziętymi. Przez chwilę poczuł bunt swojej ludzkiej powłoki – nagły zamęt w głowie, który zakończyłby się eksplozją czaszki, gdyby nie jego prawdziwa natura. Magia szybko uspokoiła ciało i Ortaris spokojnie wypuścił powietrze, wzmacniając czar. Dla wielu były to jałowe i śmiertelne tereny, ale wokół kipiało życie, o jakim większość nie miało pojęcia. A on nie zamierzał dokonywać rzezi pośród broniących swej świątyni tubylców. Dlatego jego gorący oddech otulił go powoli przezroczystą plachtą i osłonięty niewidzialnym kocem ruszył swobodnie przed siebie. Ogień nie znalazł iluzji, jednak miraż to zupełnie inna sprawa.

Minął stado niewielkich stworzeń o chropowatej skórze skupionych u źródła lawy. Z ich paszczy w błyskawicznym tempie wysuwały się języki, tylko po to, żeby równie szybko zniknąć. Wyglądały, jakby spijały magmę, choć tak naprawdę nie dotykały jej. Nagle z krawędzi osunął się kamień trącony łapą jednego z jaszczuropolodopodobnych. Pechowy sąsiad właśnie wystrzelił, gdy wpadający kamyk nieznacznie podniósł poziom płynnej skały.

Język dotknął jej powierzchni – zwierzę pisnęło i natychmiast eksplodowało, a dwa inne zajęły się ogniem. Ich ciała wily się przez krótką chwilę, zanim znieruchomiały. Reszta rozpięchła się błyskawicznie. *A jednak wciąż nimi gardzisz* – ta myśl nie ułatwiła mu dalszej podróży.

Dostrzegał już przed sobą cel. Wokół roilo się od Rgai-Ortis – Ogników, jak ich powszechnie nazywali ci z ludzi, którzy mieli pojęcie o ich istnieniu. W obu dolinach ołtarze oblegane były przez osobniki o wyróżniających się strojach. Ortaris rozpoznał w nich kapłanów. *Skurniele zawsze chcieli się wyróżniać, niezależnie od religii czy rasy.* Niemniej cokolwiek by o nich nie myślał, nie mógł odmówić im użyteczności. Szybko zorientował się, że tłum tworzą wierni przybyli na uroczystości, a sądząc po rozmachu, nie były to codzienne nabożeństwa, lecz najważniejsze święto w roku. Uśmiechnął się krzywo, drwiąc z ironii losu. *Gdyby tylko wiedzieli, co świętują. Amander uprzyłby im jaja za tą całą radość, gdyby tylko zdołał sięgnąć tutaj jucha.*

Przeczekał całą mszę i jeszcze chwilę na rozejście się tłumu. Gdy obie doliny opustoszały, mógł wreszcie dokładnie przyjrzeć się symetrycznym ołtarzom. Nie było w nich przepychu znanego z ludzkich świątyń. Po prostu dwie okrągłe, gładkie powierzchnie o średnicy około dwudziestu metrów – po jednej w każdej z dolin. Zsunął się spokojnie, nie martwiąc się strażnikami na wzgórzach, i wyszedł na sam środek krateru, skąd najłatwiej będzie mu się komunikować. Wiedział, że i tak mogą być z tym trudności, chociaż wciąż dobrze zachowane podłoże wróżyło dużo lepsze rokowania, niż przypuszczał, zanim się tu pojawił. W końcu minęło sporo czasu od jego ostatniej wizyty. Tym razem przybył sam.

Usiadł spokojnie ze splecionymi nogami, po czym przyłożył obie dłonie do ołtarza. Oczyścił myśli i posłał impuls. Magia spłynęła na gładką skalę, zatrzymała się na chwilę przy niej, a następnie uderzyła ze zdwojoną siłą. Ziemia zadrżała; potoki lawy spieniły się, a z oddali dobiegł grzmot wybuchających kraterów. Wokół tryskały gejzery ognia. Zewsząd dochodził jazgot nieszczęsnych stworzeń, które miały pecha znaleźć się w polu rażenia, oraz radosne okrzyki Rgai-Ortis najwyraźniej biorących

to za dobry omen podczas najważniejszego ze świąt w roku. Ludzie czy Ogniki, Woda czy Ogień – istoty zawsze pragnęły dobrobytu i były gotowe wznosić o to modły do swych bogów. Tych prawdziwych czy wymaginowanych.

Ortaris czekał. Minęło kilka chwil, zanim zaczął wyczuwać napływające fale świadomości i wcale nie spodobało mu się to, co dostrzegł najpierw – gniew... Rgal, nawet w obecnym stanie, pobudzony złością, mógł bardzo zaszkodzić krainie, a Ortaris nie chciał mieć na sumieniu żyjących tu istnień. Liczył, że uda mu się uspokoić żywiołaka. Poczekał jeszcze chwilę, mając nadzieję, że ściana wrogości rozproszy się sama, jednak z braku widocznych postępów westchnął głęboko i wysłał telepatyczny przekaz:

– Wszystkiego najlepszego. – *Kurwa, gorzej już nie mogłem zacząć.* – To znaczy twoi Ortis wyglądają na rozentuzjasmowanych.

Faktycznie, gorzej już nie mógł zacząć. Wszędzie wokół znowu trysnęły strumienie ognia i ponownie w niebo wzbily się radosne nawoływania mieszkańców. Ortaris wyczuł, jak gniew zamienia się we frustrację. *A więc to tak cię rozbroiły... Cholerne skurczybyki cieszą się z każdej twojej „kary”, jak małe dzieci na widok ciastek. Pewnie najchętniej zamknąłbyś rany, gdybyś tylko potrafił.*

Po chwili usłyszał w głowie dudniącą odpowiedź:

– Te pomioty niewarte są miana Ortis.

– Ogień nie należy już tylko do Rgali. Nie możesz odmówić im domenyl – wręcz krzyknął mentalnie Ortaris.

Amader zastanawiał się przez moment, po czym nadeszło ponowne dudnienie:

– Tylko na niej żerują. – Tym razem głos przepelniała odraza.

Ortaris nie chciał wyjaśniać olbrzymowi, jak bardzo się myli. Przynajmniej nie teraz, kiedy jeszcze nie był pewien reakcji żywiołaka. Wolalby uniknąć kataklizmu.

– A zastanawiałeś się kiedyś, jak to się stało, że nazwali się...

– Jesteś tutaj! – przerwał mu z gniewem Rgal.

– Tak – potwierdził krótko.

– Przybyłeś. DZISIAJ. Dlaczego?

Ortaris wiedział, że wybrany czas na rozmowę nie ułatwi mu przekonania Upadłego Rgala do swojej sprawy. Amader miał powody, aby saczyć jad, a jego gorycz tego dnia roku sięgała

zenitu. Niemniej jednak ten dzień, ta rocznica, przepelnione były mocą, a tej przybysz potrzebował wiele, żeby zrealizować plany.

– Zobaczyć cię. – W odpowiedzi głos wypełnił mu żal.

– Widziałeś mnie. Widziałeś i pozostawiłeś. Odmówiłeś laski.

– Prosiłeś o zbyt wiele... – Ortaris nie mógł znieść myśli o zgładzeniu jednego ze swych dzieci.

– Dlaczego więc wróciłeś, wiedząc, że ponownie będę prosił?

– W nadziei – odparł, choć zatopiona w dłoniach twarz nie wyrażała niczego z nią związanego.

– Nie ma dla mnie ani we mnie nadziei. O tym pierwszym wiesz, a drugiemu sam poddałbyś się po takim czasie. – Z Amandera opadły już emocje, a ich miejsce zastąpiła niemoc wyraźnie dostrzegalna w głosie Upadłego.

– Zaszły zmiany – tajemniczo wyjął Ortaris.

– Nie dla mnie.

– Jak w takim razie nazwiesz to, co tutaj się dzieje? – Mimo przekazów mentalnych rozłożył dłonie z frustracji.

– Agonią.

– Pytam o życie. O życie, które tu kwitnie. Jest go znacznie więcej niż ostatnio. A już wtedy było zaskakujące.

– Życie jest tym, co nie chce mnie opuścić. Jest moim przekleństwem.

– To tutaj, jest twoim dzieckiem.

– Zarazą. Pasożytem – Rgał skontrolował bez zastanowienia.

– Jeśli chcesz końca, to powinieneś być szczęśliwy z pasożytów. – Spróbował innego podejścia.

– Zakończ to. Teraz. Szybko.

Fale agonii Upadłego przeszły umysł Ortarisa, a serce ścisnął mu żal.

– Wiesz, że nie potrafię – odparł zrezygnowany.

– Jesteś w mocy.

– ALE NIE JESTEM W STANIE! – przybysz wykrzyknął tak mentalnie, jak i fizycznie.

Zaalarmowani strażnicy szybko zwrócili się w stronę ołtarza. Niczego nie dostrzegli, ale byli świadomi obecności intruza. Jeden z nich pobiegł po posiłki, reszta zaczerpnęła mocy.

– Wielki, słaby Ortaris. Jak to jest mieć potężną moc i ma-
lutkie jaja? – prowokował Amander. Upadły Rgal wyraźnie nie
miał zamiaru odpuścić.

– Znacznie lepiej niż mieć wielkie jaja i nie być w mocy –
odbił z nutką rozbawienia.

– Przybyłeś ze mnie drwić? – Gniew znowu zawiał w głosie
i wszechobecnych erupcjach.

– Przybyłem cię prosić.

– Nadal drwisz. – Rgalowi nie mieściło się w głowie, aby
Ortaris przychodził z prośbą. Nie był też w stanie wyobrazić
sobie, jaką prośbę mógłby dla niego spełnić.

– Czyż nie widzisz, jak wiele dokonałeś? – znowu przekazał
mentalnie i fizycznie.

– Wszystko, co uczynilem, to tyle, że nie udało mi się umrzeć.
Pomimo iż wciąż wycieka ze mnie życie.

– I w ten sposób zrodziłeś nowe. – Próbował nadać sens
męce Upadłego.

– Zwykle pasożyty – Rgal podsumował szybko, choć już nie
z tak dużym przekonaniem.

Ortaris westchnął. Nie miał do tego serca, ale wiedząc, co
nastąpi, musiał zmienić jego postawę. Tego wymagały plany.

– Nie są tak silni jak wy, Amanderze, ale i tak są wspaniali.
A nie zapominaj, że to siła Rgali przyczyniła się do ich wła-
snego... – przystanął na chwilę, po czym ostrożnie dodał: –
upadku.

– Dlatego ważysz ich życie ponad moją mękę?

– Każdy z nas coś poświęcił – odpowiedział, instynktownie
drapiąc się przy pustym oczodole.

– Dlaczego spoglądasz na nich z nadzieją? Cóż jest tak wspaniałego w tym kruchym życiu?

Ortarisowi wydało się, że słyszy błaganie o nadzieję. Ostroż-
nie dobrał kolejne słowa, kierowane do niepotrafiącego doga-
snać od pięćdziesięciu milionów lat Rgala:

– Ono... płonie...

Dla konającego Amandera stanowiło to gorzkie przypomnie-
nie ofiar, jakie ponieśli w odległej wojnie. Jednak gorycz ta była
przyprawiona nadzieją. Sami jako Rgale nigdy nie występowali
licznie; nie w kryteriach tego wątłego życia, które tętniło tu

obecnie. A wydawało im się wówczas, że było ich tak wielu. Istotnie – chyba zbyt wielu, skoro doprowadzili niemal do zagłady własnej rasy. *A może już jest to nieuniknione?*... Upadły nie miał kontaktu ze swoim światem, jego myśli nie potrafiły przebić się przez stosy poległych do słodkich otchłani ognia. Za to tutaj rozwijało się coś nowego; coś o smaku, jakiego nie doznał przez eony – o smaku obietnicy. W obliczu jego męki, w płomieniach wyciekającego zeń żaru kwitło nowe życie, malutkie i kruche. Jednak liczne.

Ortaris czuł, jak zalewa go fala emocji Upadłego. Niemal widział, jak narasta uczucie, które wciąż walcząc z barierą niepewności, jedynie wzbierało na sile.

– Niech zatem PŁONIE! – Pewność zrodziła się jak błysk eksplozji, sięgając najgłębszych pokładów świadomości i wypalając Amandera na nowo. Jego cierpienie z bólu przerodziło się w ojcowską miłość. *A może wciąż był to ból, tylko o tak odmiennym wymiarze?* Bez względu na to, jego istnienie nabrało nowego znaczenia, już nie był Upadłym – teraz był Ojcem.

Ortaris wstał. Serce wypełniała mu agonia, ucisk zapierający dech w piersi, ściskający gardło i rozmywający wzrok w jego jedynym oku. Stał otępiały, spoglądając pod nogi. *Tak, kiedyś wszyscy uczymy się miłości.* Nie wypowiedział tego. Próbował, ale narastające uczucie powaliło go znów na kolana. Oparł dłonie na skale, pochylił czoło i chwilę później cały przywarł do spójówki Amandera.

Trzech Rgai-Ortis patrzyło z zaskoczeniem na człowieka, który nagle objawił się na środku ołtarza. Nie dość, że wdarł się w głąb krainy, to dotarł w samo centrum ich najświętszego miejsca. Nikt z obcych nie miał prawa tu przebywać, a kara za to mogła być tylko jedna. Cała trójka spojrzała po sobie porozumiewawczo, gdy postać ukłękła – to był najlepszy moment, aby wymierzyć sprawiedliwość. Skoro osobnik zdołał dotrzeć aż tutaj, z całą pewnością należał do niebezpiecznych, dlatego nie zamierzali dać mu żadnej szansy. Troje rąk wystrzeliło przed siebie. Każda rozbłysła płomieniem przywołanej magii i z dłoni powoli wydarły się rozżarzone groty. Ejaris rozpostarł palce, szykując się do strzału. Intruz nie mógłby im tego bardziej

ulatwić, niż kładąc się na ziemię. Wycelowali. Człowiek przywarł czołem do gorącej powierzchni ołtarza i...

Żaden ze strażników nie wypuścił grotu, ani nawet nie spojrział pytająco na resztę. Żaden nie śmiał się ruszyć w obliczu tego, czego właśnie był świadkiem. Obcy zapłakał, a niebo rozdarła fala szkarłatu – tysiące kul ognia gnało na spotkanie z wyspą. Ich bóg w końcu sobie o nich przypomniał.

Pełna pierwsza część ma 10 rozdziałów i 648 stron. **Pytaj o nią w najbliższej księgarni.**

Chcesz podzielić się darmową wersją z przyjaciółmi? Wyślij im link – będzie łatwiej niż plik. Zawsze najaktualniejszą wersję znajdą na:

www.facebook.com/wojny.zywiolow